Nro 7. R. 1837. PONIEDZIAŁEK 22 MAJA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

PRZESTROGA.

POWIEŚĆ.

Szczęśliwy! kogo Pan Bóg tak (napomnieć raczy,
Że źródło grzéchów swoich sam (w sobie zobaczy,
I zbawienną ich następstw prze- (jęty obawą,
Grzéch, zgryzotę i karę uprze- (dzi poprawą.

Było to w późnéj jesieni roku 1812, gdy ostatnie kolumny francuzkiego wojska po większéj części z rannych i rozproszeńców złożone, ustępując przed coraz bliższą pogonią i dążąc za armią główną, przechodziły koleją przez miasteczko Litewskie Smorgonie, na trakcie między Mińskiem a Wilnem leżące, gdzie każda z nich miała wskazany sobie całodzienny odpoczynek. Dowódzcą jednéj z takich kolumn był Polak w służbie francuzkiéj Major S.— Ranny w bitwie nad Berezyną, pozostał był w lazarecie w Mińsku, gdzie przyszedłszy nieco do zdrowia, objął powierzone sobie dowództwo nad przeszło stu ludźmi równie jak on niedawno z ran uleczonymi. — Był właśnie dzień targowy, gdy kolumna do miasteczka przybyła, wielu z sąsiednich obywateli znajdujących się na targu, dowiedziawszy się że Major S. nią dowodzi, pośpieszyli do niego; — jedni, aby według możności powierzyć na ręce jego, wsparcie dla chorych i rannych żołniérzy, drudzy wprost dla pogadania i zaspokojenia swojéj ciekawości. — Widok człowieka porwanego wirem wypadków, na które sami zdaleka, a jednak ze drżeniem patrzają, jest zwykle najciekawszym dla ludzi: i rzecby można że ma dla nich ten sam rodzaj dzikiéj ponęty, jaka zgromadza widzów nad brzeg rzéki, patrzéć jak człowiek w niéj tonie. — Pan Major radbył serdecznie z gości. Obfity jak mógł bydź na prę-

ce obiad, i spełnione w ciągu jego kielichy, ożywiły serca obecnych i rozniécily w nich dawno już obcą wesołość; zaczęła się żywa i głośna rozmowa. Dzień był posępny i mglisty, niebo grubémi zaciągnięte chmurami, i zmrok, zawsze w téj porze roku wczesny, zapadł rychléj niż się spodziéwano. Długo nikt z zaprzątnionych rozmową, nie zwracał uwagi na zwiększającą się w pokoju ciemność, choć wpływ jéj coraz wyraźniéj dawał czuć w saméjże rozmowie, zdawało się że barwa posępności wieczornéj, spadała na myśli mówiących, i na przedmioty, o których chwilą jeszcze z zapałem mówili. Wszyscy czuli wewnętrznie że w przykrą materyą zabrnęli; każdy siebie i drugich radbył od niéj oderwał; lecz nikt, bojąc się posądzenia o płochość lub obojętność, nie śmiał wprowadzać piérwszy nowego i weselszego przedmiotu. Powoli więc wszyscy zamilkli; — lecz naówczas, — otaczający ich pomrok jesienny, posępny świst wiatru na dworze, szum i skrzypienie drzew nagich przed oknami rosnących, a nadewszystko ponure myśli każdego, milczenie to uczyniły przykrzéjszém jeszcze niż była poprzédzająca rozmowa. Nadaremnie podano świéce i przyniesiono nowe butelki; — Swiatło nierozjaśniło myśli, wino nierozweseliło serca; — ze skwapliwością więc przyjęli wszyscy wniesienie jednego z gości: ażeby zabawić się w karty. Posłano po nie, i Pan Major jako chwilowy gospodarz domu, założył bank w faraona.. Poniterowali wszyscy; ci którzy przybyli z zamiarem ofiarowania pieniężnego wsparcia żołniérzom i samemu dowódzcy, a uderzeni powagą majora do rąk mu go oddać nie śmieli, radzi byli ze zdarzenia, iż nieobrażając ani swojéj, ani jego delikatności, mogli niewidomym sposobem dopiąć celu swojego; grali więc na zakryte, a bank coraz się zbogacał. — W rzędzie grających był młody obywatel, Pan L. — Dziedzic po rodzicach znacznego majątku, stateczny, światły i dobrze myślący nie zbywało mu na zaletach i sposobach, przez któreby mógł szacónek i miłość w spół-obywateli pozyskać. Jedna wada psuła to wszystko, — jedna którą w nim upatrywano — zbyteczna miłość

piéniędzy. Nie było to kłamstwo ni sknérstwo; — Pan L. nigdy się nieupodlił, ani skrzywdził drugich dla zysku; nie uciemiężał poddanych dla pomnożenia intraty; przeciwnie zaraz po objęciu gospodarstwa, znaczne im ulgi w pańszczyźnie i w daninach poczynił. — W domu jego nikt ze sług i czeladzi nie uskarżał się na niedostatek i niewygodę: nikt z gości na nieuprzéjme przyjęcie Żaden wieśniak bez kieliszka wódki, żaden żebrak nie nakarmiony i z próżną torbą nie odszedł; Nawet nigdy Bernardyn ile razy po kweście dom pana L. — odwiédził nie wyjechał z niego niepomnożywszy swéj trzody jednym baranem przynajmniéj. Dobroczynność pana L. — nieograniczała się na tém! nie raz w okolicy uboga wdowa lub opuszczony starzec z podziwieniem odbiérali od niego zasiłek w zbożu lub w domowych produktach i ci którzy go sami nawet prosić nie śmieli. A jednak pomimo to wszystko pan L. — w całym sąsiedztwie miał tytuł i opinią skąpca nikt nie chciał zadać sobie pracy aby ogół jego postępowania rozstrząsnąć; — nikt nie czuł pobudki aby wziąść jego obronę i walczyć w jego sprawie z opinią powszechną: która téż, wyznać potrzeba, niebyła bez pewnéj zasady. — Rzecz zaś tak się miała w istocie; pan L. z natury tkliwy i dobroczynny, lubił uszczęśliwiać otaczających siebie; lubił wspiéraniem potrzebnych, sercu swojemu dogadzać; a to tém bardziéj, że czyste uczucie religijne, głęboko od dzieciństwa w duszę jego wpojone, było dla niego prawidłem według którego żył i postępował. Ale któż zbada sprzéczności serca ludzkiego. — Pan L. — który dla ulżenia poddanym nie wahał się uszczuplać swoich dochodów; który w jałmużnach, w zbożu i w produktach był rzeczywiście hojniéjszym od drugich, skoro raz te produkta na piéniądze zamiénił — widok kruszczu miał dla niego jakąś tajemniczą magnesową ponętę, któréj sam oprzéć się nié mógł; — i co się tyczyło wydatku gotowych piéniędzy, zasługiwał istotnie na powzięte o nim mniemanie. Rodzice jego chcąc go wcześnie nauczyć szacónku piéniędzy i od marnotrawstwa na przyszłość uchronić, w mawiali mu od dzieciństwa przesadzoną

ich wartość i aby go własném doświadczeniem przekonać, dawali mu tak mało na konieczne potrzeby, iż przymuszony nawykać oszczędności, przywiązał się do samych piéniędzy. Pan L. znał sam wewnętrznie słabość swoję, lecz poznał ją dopiéro wtedy, gdy się już stała nałogiem; czuł całą jéj niedorzeczność i śmiészność; myślał i rozumował jakby ją mógł pokonać, — i nié mógł. Nie ustawał jednak w usiłowaniu; — upokorzenie w oczach własnych; gdy zastanawiając się nad moralném kształceniem się swojém, postrzégał, jak go ta wada odciąga w tył i poniża; — upokorzenie w towarzystwie równych sobie: — gdy albo przez bojaźń wydatku od zabaw ich uchylać się musiał; albo choć je podziélał, nié mogąc ukryć bojaźni téj i pomiészania, na śmiéch się i żarty wystawiał — oboje to upokorzenie było dla niego ustawicznym bodźcem, do ustawicznéj walki z samym sobą. — Ale że niéma złego, coby w jednem lub w drugiém na dobre, jak mówią, nie wyszło; — Pan L. w téj saméj słabości nad któréj pokonaniem pracował, znalazł silną pomoc i wsparcie przeciwko innéj, namiętności, zgubniéjszéj bez porównania w skutkach i bardziéj każącéj charakter — namiętności do kart. Z dzieciństwa powziął wielkie w nich upodobanie, które się tém bardziéj w nim wzmogło, że mu ojciec surowo wszelkiéj gry zabraniał; lecz stawszy się wkrótce zupełnym panem woli swéj i majątku, miłość piéniędzy i obawa przegranéj, były jedynym i zbawiennym dla niego hamulcem, który go od zabrnięcia w haniebny nałóg powściągał. Skłonność jednak zawsze została i ile razy Pan L. wdał się w grę, choć dla zabawy tylko, brała w nim górę nad zimną krwią i umiarkowaniem, tak dalece, iż ktoby go po raz piérwszy grającego widział, mógłby łatwo posądzić go, nie o skąpstwo, lecz raczéj o rozrzutność i zbyt lekkie ważenie piéniędzy. Po przéjściu dopiéro chwil zapału, następowała rozwaga, a z nią żal i zgryzota. Żeby więc tego uniknąć Pan L. poprzysiągł sam w sobie nie wdawać się nigdy w grę żadną, i unikał starannie wszelkiéj zręczności i pokusy do złamania swych postanowień. —

Ale w okoliczności obecnéj, gdy gra nie dla piéniędzy, nie przez namiętność lecz wszczęła się jedynie dla rozrywki Majora; gdy wszyscy, nawet kart nielubiący udział w niéj brali, wyłączać się od niéj samemu byłoby nieprzyzwoitością, dziwactwem. Czuł to dobrze Pan L., i chociaż ze wstrętem, wziął karty w ręce i do stolika przystąpił. Dla wszystkich innych szczęście ważyło się rozmaicie, przegrywali i wygrywali; przeciw jednemu Panu L. los jak na przekorę się zawziął, każda karta którą stawił, przegrała. Lubiący grę wiedzą dobrze, jak trudno jest w podobnym razie drażliwą niecierpliwość poskromić; złośliwe uśmiéchy sąsiadów i z boku na Pana L. rzucane spojrzenia, których cel i znaczenie nie trudno mu było odgadnąć, bardziéj go jeszcze jątrzyły i w pomiészanie wprawiały. Żądza odegranéj przemogła nad umiarkowaniem, i w krótce ostatni dukat wytrząśniony z sakiewki, z niewiernéj karty potoczył się do banku. Uśmiéchnęli się sąsiedzi, uśmiéchnął się i Pan L., ale gorzkim uśmiéchem, a chcąc pokryć nieukontentowanie wewnętrzne, rzekł z udaną wesołością: «Fortuna dziś mi nie sprzyja; musiałem usiąść pod sękiem,» i to mówiąc spójrzał na sufit. — «Zapewne, odezwał się jeden z obecnych, i widać że to sęk twardy dla Pana.» — Oczy Pana L. zaiskrzyły się gniéwem; pohamował go jednak i obracając się do Majora, rzekł: «Jeźli wolny rewanż na marki, sąsiedzi moi, spodziéwam się że za mnie zaręczą.» — «Bez wątpienia!» — odpowiedzieli wszyscy, a ów co już przedtém dał się słyszeć z przycinkiem, rzekł znowu w podobnymże tonie: «Rycérska to jest powinność, Panie Majorze, oswabadzać więźniów; kilka tysięcy holendrów po długim odpoczynku, bardzoby się przydały kolumnie!» — Pan Major spójrzał koleją na mowcę i na Pana L. jakby chciał lepiéj z ich twarzy znaczenie słów tych wyrozumieć. Ostatni użyć musiał całéj swéj władzy nad sobą, aby wstrzymać się od odpowiedzi, z któréjby bez wątpienia nieprzystojna wyniknęła kłótnia. Dostrzegli to przytomni, i zręcznem wtrąceniem ubocznego przedmiotu, uprzedzili wybuch obrazy; lecz draśnię-

ta w Panu L. miłość własna, do reszty go, jak mówią gracze, z instynktu i kontynastu wyzuła. Stawiał kartę po karcie bez najmniéjszéj rozwagi, i jak gdyby nieszczęściu i samemu sobie na przekor, stawkę coraz bardziéj powiększał. Stan jego był gorączkowy; wszystka krew biła do twarzy, oczy gorzały ogniem, pot raz gorący, raz zimny całe ciało oblewał; wszystkie najgorsze namiętności gracza, gniéw, zgryzota, rozpacz, nienawiść sercem jego na przemiany miotały. Sąsiedzi patrząc na niego poprzestali urągań, i jak mu przed chwilą przegranéj, tak teraz szczérzéj jeszcze odegrané, życzyli. Ale uparta Fortuna nie zdawała się wcale uważać na tę odmianę ich uczuć. Już większa połowa talji kart leżała przed bankiem na dziesięcio-dukatowych markach, gdy Pan Major, człowiek nie chciwy i szlachetny, zważając nieprzytomny zapęd Pana L. i przegraną już summę, a niechcąc z młodzieńczego uniesienia korzystać, postanowił naprawić rzecz całą. Obracając więc mowę do obecnych, którzy przestawszy grać sami po kolei od stolika odeszli, rzekł: «Znajome jest zapewne przysłowie, że kto przegrywa w karty wygrywa w miłości; lecz ja to jeszcze mógłbym dodać z własnego i z drugich doświadczenia; że ile razy szczęście sprzyja nam zbytecznie w czém jedném, powinniśmy się lękać że zaraz potém w czémś drugiém rownie wielka nastąpi przeciwność, i nawzajem. Powiedziećby stąd można, że fortuna chce naśladować sprawiedliwość; ale że ślepa nieboga, różne dziury wyrabia z szalami naszego losu aby je jako tako w równowadze utrzymać. Nie przypominam sobie, bym kiedy grał tak szczęśliwie jak dzisiaj; kto wié co mi to wróży na jutro?» —

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ZDANIA I UWAGI.

Wierzysz że się Bóg zrodził w betlejemskim żłobie,
Lecz biada ci jeżeli nie zrodził się w tobie.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniéj dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.